Lwów, 18. Marca. № 33. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Na folwarku.

(Ciąg dalszy.)

Takim był Reb Srul, jak go powszechnie nazywano, który wraz z ojcem i siedmią braćmi tu i owdzie po nadgranicznych karczmach rozsypanemi, trudnił się przemycaniem towarów na wielką stopę. W dzień szynkarz potulny i przemyślny, w nocy zawedyaka zuchwały, zbierał grosz do grosza, czy wykpiony czy wydarty, i miał reputacyą olbrzymią w okolicy, tak co do przebiegłości, jak i co do majątku. Naturalnie, że między dniem i nocą prawdziwie jak Francuzi mówią: *„entre chien et coup”* znajdywał czas na najmilsze izraelitów zajęcie, na lichwę, którą jak nić pajęczą rozsnuł po całej okolicy, i łapał w nią zarówno mniejsze zabytki biednych chłopów, jak i większe dostatki dzierżawców i dziedziców nawet. W tej chwili stał Reb Srul z minką ułożoną i uśmiechem słodkim choć dwuznacznym, i nieraz pejsami dotykając wąsów pana Pikuły, robił mu zapewne jakieś ważne uwagi na ucho, na które ekonom odpowiadał wiele znaczącym uśmiechem. Snać się rozumieli oba doskonale, i w takich chwilach obraz tych dwóch ludzi, mógłby się wydać dla ludzi w historyi i malarstwie obznajomionych, karykaturą owego sławnego obrazu, w którym Machiawel z Juliuszem rozmawiają więcej okiem i uśmiechem niżeli słowem. Jak i tam, tak i tu szło o prowadzenie głupiej tłuszczy na pasku własnego interesu.

— Ale proszu ja jegomości! — odezwał się biedny chłopek, wzięty na tortury ekonomowskiego rachunku, które mu aż oczy na wierzch wysadziły, i żylastą rękę do skrobania biednej, ogolonej głowy przywiodły. Ta że ja tak mi hospod' dopomoż, mam dziesięć ciągłych a dziesięć dni pieszych jeszcze przerobnych. Bo proszę jegomości. I słowem i palcami powtarzał swój rachunek po raz drugi.

— Głupiś ty Iwanie i głupie twoje rachunki!

— Durny wy Iwanie! — powtórzył Machiawel z Chałupiniec.

I drudzy przytomni chłopkowie, którzy jak tabaka w rogu nic nie rozumieli, kiwnęli głowami, jakby chcieli stwierdzić słowa tyle poważanych dwóch władz: władzy ekonomskiej i żydowskiej.

— Ale przecie jegomość będą łaskawi! choć przecie... wybąknął głupi Iwan, drapiąc się ciągle w głowę, by przecie z niej wydrapać jaką myśl szczęśliwą.

— Co tu będziesz długo gadał — krzyknął groźniej jeszcze pan Pikuła, i jakby przypadkiem uderzył ręką po nahajce, między kałamarzem i piasecznicząką umieszczonej. Tu są przecie pisane rachunki. Słuchaj! Iwan Pacuła trzy dni z cepem. Iwan Pacuła... I nastąpiło powtórzenie rachunku ekonomskiego, którego ostatecznym było rezultatem, że Iwan Pacuła winien jeszcze trzy dni ciągłe, i trzy dni piesze.

— Ta żeby choć już te sześć dni! — mówił biedny chłopek nieśmiało, gotowy już do zgody.

— Bo ty sobie głupcze rachujesz te dnie zapewne, które ja ci kazałem wyjść, kiedy chciałem dla siebie odwieść do Tarnopola na targ żonę i gęsi, i kiedy znowu miałeś przyjść aby wymłócić mi parę kup żyta na chleb. A ty nie wyszedłeś i nie pojechałeś! — pamiętasz. I ja musiał nająć. Bo to wy przeklęte mudie, jak wam czego trzeba, wiecie drogę do folwarku, a jak potrzeba jakiej małej usługi, to nie ma w domu, to pojechali na targ, to gospodarz chory, a gospodyni gdzieś w kumy poszła. Co! nie? — dodał poglądając groźnie po wszystkich przytomnych.

I przytomni, trafieni groźnym, przekonywającym wzrokiem, kiwnęli głowami pokornie.

— Ale proszę ja jegomści — mówił dalej Iwan; ta że ja przecie był u jegomości dwa dni w zimie z cepem, a...

— To w styczniu było, a to są rachunki z lutego i marca.

Biedny Iwan zgłupiał do reszty, bo mu te miesięczne nazwiska i rachunki ani trochę do głowy nie lazły.

— A widzicie Iwanie! — wy tego nie rozumiecie! wściubił swoje trzy grosze Reb Srul. To tak wszystko prawda, jak wam powiada pan komisarz.

Pan Pikuła tak lekko na komisarza promowowany, pokręcił wąsa jeszcze poważniej, i jeszcze uroczyściej wytrzeszczył oczy.

— Bo to wy Iwanie zawsze w rachunkach taki uparte, a taka krótka pamięć macie! — ciągnął arendarz dalej. A pamiętajete wy, jak ja się z wami rachował po zaprzeszłej niedzieli, toście nie chcieli przyjąć garniec wódki, co ja przecie zapisywałem na drzwiach własną mojego krydą, i własną ręką. I dotąd ten garniec stoi napisany, a moja Sura aż placze! bo to musi z wami po całych no-

cach biedować, a wy potem niepamiętacie. Otóż widzicie Iwanie! ja wam powiadam na prawdę, że tak jak tych dniów musicie odrobić, co pan komisarz wyrachowywał, tak i mnie zapłacić za mojego garniec wódki, bo ja gorzko pracuję na to.

Pan Pikuła spuścił oczy na wąsy w czasie tej przekonywającej przemowy żydowskiej, i w końcu tylko ozwał się niewyraźnem mruknieniem, z którego można było zarówno wnioskować, że potwierdza sens moralny tej przemowy, jak i że niekontent z tego obokstawienia dwóch rachunków.

Iwan tymczasem podniósł oczy do góry, jakby chciał deski na pułapie rachować. Biedak szukał natchnienia. A że w krytycznych chwilach, jak mamy dowody historyczne i osły przemawiają, przyszła i naszemu Iwanowi myśl szczęśliwa.

— Ta że już ja proszu jegomości, pojadę raz do Tarnopola, jak jegomość każe. A i wam panie arendarzu, nie chcę ja brać na sumienie tego garnca, jakoś tam zaspokoję.

— Mnie do tego nic! — mruknął Pikuła uroczyście.

I znowu pejsy trochę zdybały się z wąsami ekonoma, który zaczął na nowo szukać po rejestrach, i czerwonym ołówkiem podkreślać, sumować i mazać.

W tej chwili weszła po cichu Pikulina, i szepnęła coś mężowi do ucha, a oczami zdawała się spoglądać na Iwana Paculę. Aby zrozumieć, co Pikulina mogła szeptać mężowi, trzeba się przenieść na chwilę na drugą stronę folwarku, do wielkiej i obszernej piekarni i kuchni razem. Tu podobny jak naprzeciwko był ścisk bab ze wsi, w kożuchach, siermięgach, białych zawitkach na głowie, i doskonale zadziegcionych butach. Był to korpus sukursowy, który mężom i braciom przyszedł w pomoc do wywalczenia końca rachunków. I właśnie przed chwilą, nim weszła Pikulina do kancelaryi mężowskiej, Pacułycha, żona Iwana, przyniosła sporego prosiaka, który duszony pod pachą, niemiłosiernie kwiczał, z czego korzystając Pacułycha, wygadała się należycie przed Pikuliną w pół cichym głosem, by drudzy nie słyszeli. Ekonomowa kiwała niby głową, niby ramionami ruszała, aż nareszcie kwiczące stworzenie dostało się w ręce grubej i brudnej dziewki, która w kącie ciasto jakieś miesiła, i jak mówiliśmy, poszła Pikulina do męża, a poszeptawszy z nim wróciła między baby, z których każda prawie miała coś żywego lub nieżywego pod pachą, w chuście, i za pazuchą. Była tam cała menażerya kur, kogutów i kaczek, zbiór jaj, przędziwa, motków, ba nawet i sporych płótna kawałków.

Pan Pikuła po wyjściu żony, porwał się znowu do rejestrowej roboty, i kartkę po kartce z wielką przeglądał uwagą. A nieznacznie po za jego głową Reb Srul słodko pieprznym uśmiechem dodawał Paculе odwagi. I nagle przewróciwszy nową kartkę rejestrową, splunął potężnie.

— A żeby cię piorun siarczysty zatrzasł! To człowiek ma tyle do czynienia, i zapisał zamiast tu Iwanowi, temu tam.... No! ale sprawiedliwość przed wszystkiem.... A więc Iwanie jest tu jeszcze kilka dni.... A zatem, jak przyjdziesz dwa dni jeszcze z cepem...

— Do dworu? — zapytał naiwnie Iwan.

— Głupiś, tu do mnie przyjdziesz, a ja ci już zadysponuję. A na dwa dni wypadnie ci przyjechać do Tarnopola.

— Nu! a mego garnca zapłacisz! ja mam na to świadków! Prawda panie komisarzu!

— Wypadnie z rachunku — kończył Pikuła, nie uważając niby na przerwę; tak prawie jakeś mówił.

— A już to jegomość bardzo dobrzy i sprawiedliwi! — ozwał się Pacuła radośnie, i ukłonił się tak nizko, aż trochę śmiecia czapką podmiótł.

— O i jak dobry! — ozwali się drudzy klienci.

W ten sposób expediował pan Pikuła rachunki swoje, zatrzymując się najdłużej przy majętniejszych chłopkach, bo uboższych lub całkiem nie rachował, lub rachował w czambuł, krótko i węzłowato, i ani sobie pozwolił robić jakie przez nich uwagi; jeno zaraz wśród siarczystych wypędzał piorunów.

Z naprzeciwka odzywały się rozmowy, niemało towarzyszone rozmaitemi rozmaitych zwierząt tonami. Od czasu do czasu pojawiała się Pikulina i szeptała z mężem; Reb Srul też nieomieszkał swoje na biednych chłopkach rachunki przy tej sposobności windykować; i tak szczęśliwie zakończyły się kwartalne rachunki pańszczyzniane, z niemałą pociechą wszystkich stron. Bo i chłopy nasze radzi zwykle, gdy się pokończą rachunki, których nierozumieją, nienawidzą, i obawiają się jak każdej rzeczy pisanej, która w nich wzbudza znowu pewien rodzaj nieufności.

A gdy się sami zostali obaj mistrze rachunkowi, jakby po zasunięciu kortyny, znikły wyrazy przybrane, i z zakulisową prawdą przystąpili do drugiej części tej dzisiejszej operacyi, to jest do wzajemnego porachunku, który się odbył w całej swej brudnej, niczem nieobsłonionej nagości. Bo zapewne radziby się oszukać nawzajem, ale nadto także znają się i wiedzą że daremne byłyby usiłowania: a nareszcie, wszak to targ tylko, targ o to, co u drugich wytumanili. Już to przed wszystkiem pan Pikuła, by odpocząć po takiej mozolnej pracy, przystąpił do owej framugi. Ledwie skrzypnęły drzwi od framugi, ledwie pan Pikuła wziął burkutówkę do ręki, już się i pani Pikulina pojawiła. Wszakże i ona wyprawiwszy baby wiejskie, miała prawo i ochotę do jakiegoś po pracy pokrzepienia. Reb

Srul tymczasem rzucił się na krzesło, i rozparł z poufałością przyjaciela i wspólnika.

— Wy panie Pikuła! macie wysoko głęboki rozum rachunkowy! auf meine munes!... ozwał się żyd z wyrazem nieco szyderczym.

— No! no!... stary lisie!.. odpowiedział ekonom; ot wolisz napić się wódeczki.

— Dziękuję za wódeczkę, ja mam moje jansurew w domu! Ale co prawda to prawda! ja zawsze powtarzałem i przed wielmożnym szambelanem, że pan Pikuła wielki glów!

— A teraz; ciągnął dalej pan Pikuła zwrócony do żony, jużeś się dosyć napiła, idź do swojej roboty.

— Napiła! napiła! mruknęła Pikulina wychodząc; a napiła się to sobie... także mi trzeźwy gagatek!

— Milczałabyś stara babo!... bo!...

— Bo co? ozwała się jeszcze we drzwiach. Myślisz stary trutniu, że się kto boi ciebie! I zatrzasnęła drzwiami z fukiem.

— A my panie Srul skończmy nasze rachunki, bo niemam czasu.

— Jakich rachuuków? zapytał arendarz na poły z żartem, na poły seryo.

— Nie udawaj Srulu! cierpko dosyć zagadał pan Pikuła. Czy myślisz, że ja ci przyjmę wszystkie twoje garnce, których tyle narachowałeś swoją podwójną kredką.

— Oj waj!... nie lepsza moja kredka od waścinego uluwków!

— Nie dosyć, że rozpajasz nam wszystkich chłopów. Żeby to pan szambelan wiedział.

— Achesmir!... a żeby wiedział jak jegomość rachuje pańszczyznianych dniów.

— Nie długo byś posiedział na arędzie.

— Dla Srula Zelmanna, wszędzie jest aręda!... Ale czy pan Pikuła zostałby na swego miejsca!

To był zwykły wstęp, jakim rozpoczynali swoje rachunki; była to niejako próba własnych sił, które jak każdym razem, tak i teraz skończyła się na tem, że oba spojrzeli po sobie, i głośnym parsknęli śmiechem.

— Oj Srulu! Srulu!... pogroził żartobliwie palcem pan Pikuła.

— Już to my jegomościuniu razem tylko wyjedziemy z Chałupińców.

I pan Pikuła zaczął znowu swym czerwonym ołówkiem pisać cyfry, rachować i sumować, nadzorowany bystrym okiem Reb Srula, który to mrucząc, to palcami przebierając, powtarzał ten sam rachunek.

— Pięćdziesiąt dwa garnce i dwie kwarty! to strach! niech mnie siarczysty piorun zatrzaśnie, to strach.

— Na co jemu ma trzasnąć! co to za strach! to będzie tylko piędziesiąt garców... bo przecie jegomościowi należy się jeszcze dwa garce i dwie kwarty.

— Zapewne! jakiś mądry! w moją baryłkę mieści się pięć garncy a już próżna... a tu święta...

— Nu! nu!... ale furka słomy dla Srula.

— Ja niemam słomy!

— Ach waj mir!.. alboż to jegomościna słoma!

Uśmiechnął się pan Pikuła na ten argument niezwalczony, i uderzył żyda żartobliwie po brzuchu.

— A moja herbata i mój rum!...

— Jaki herbata! jaki rum?... ja niemam! a skądże ja mam mieć!.. co to ja mam sklep!...

— Czy kpisz czy drogi pytasz?.. a za te konie com ci poza przeszłej nocy pożyczał?

— To tyle koniów folwarcznych. I nie udało się; ten przeklęty żandarm, ten Michalejew byl na straży.

— Co mi tam do tego! ja nawet nie chcę wiedzieć gdzie i po co brałeś konie, ale herbatę i rum muszę mieć przecie na święta.

— A jak ja nie mam?

— Słuchaj no ty! — zaczął groźnie pan Pikuła, ale wnet się uśmiechnął, widząc jak Reb Srul wyciągnął z zanadrza szerokiego tułuba swego, paczkę herbaty i butelkę araku.

— Jegomość nie zna żartów! — zagadł Srul. Jako przyjaciele uścisnęli sobie ręce.

— Wszystko to dobrze — przemówił pan Pikuła, twarz jego przybrała wyraz jakiegoś zakłopotania. Ale czy nie wymyśliłeś ty co mądrego na tego....

— Na tego Znajda! — podchwycił sprytny żydek. Co wun tak jegomościowi szkodzi!

— Niby to nie wiesz? — to psu brat! szpieg! panu wszystko donosi, co się gdzie dzieje, a wszędzie wlezie, wszędzie nos swój wściubi. I coś on mi zaczyna bardzo do folwarku zaglądać. Gotów jakie głupstwa popleść przed panem.

— A coż to? jegomość nie ma nahajków, żeby go napędziwać?

— Niby ty nie wiesz, w jakich on łaskach u pana, który go kiedyś we dworze nawet czytać i pisać kazał nauczyć. - Trzeba go koniecznie wytransportować ztąd precz! Ty masz przecie rozum panie Srul, a powiem ci, że źle może być i ze mną i z tobą!

— To też to, że wun w wielkich łaskach! a z panem szambelanem, to nie żarty. Wun taki gorączka. Ale czy jegomość nie prubował, przekręcić na swego strona tego Znajda?

— Próbował! próbował! już ja próbował na wszystkie boki! Ale to szelma głupia! ani rusz z nim. Wódki nie pije, grosza nie weźmie, to szelma wierna i poczciwa! i kwita!

— Dziwnego rzecza! taki jakiś przywleczony Znajda! prostego chlop! i nie pije wódki, i nie kradnie! Trudna sprawa! trudna!

— Żeby to go można jak zgrabnie! — mówił pan Pikuła cichszym głosem, tak jakoś na tamtą stronę prze-

transzportować! już by go tam niewypuścili, a zdałby się na sołdata! młody! zdrów!

— To nie dla mnie towar! to niebezpieczny kontraband! to pachnie kryminałem!

— Ba! co ty pleciesz! ta że go nie zabijesz przecie!

— A jegomość radby, żeby go tak kto zabił!

Spojrzeli po sobie obaj przyjaciele, i mimowolnie po spuszczali oczy.

— Pomyśl no Srulu kochany! a ty przecie coś wymyślisz!

— Już ja myślę, i bardzo myślę, bo wun i mnie zawadza. Ale ten szambelan, to z nim niebezpiecznie. Nie mówię z panem Kazimierzem, to co innego! Panicz go nie lubi...

— Jakże to wiesz! — zapytał pan Pikuła ciekawie.

— Jak ja wiem? Srul wie wszystko! Tego Znajda! wun paniczowi wlazi w drogę!

— W drogę włazi! gdzie? — zakrzyknął pan Pikuła z dziwnym wyrazem na twarzy, niepokoju i ciekawości.

— Nu! nu! wun mu nie tędy wlazi w droga! — odrzekł żydek i mrugnął ze znaczeniem.

— Albo pan Kazimierz i którędy indziej chodzi? — zaszeptał Pikuła zupełnie, cichym głosem.

— Nu! nu! nie trzeba się bardzo strachać! może Srul co i wymyśli! ale lepiej nie wszystko gadać!

I Reb Srul przyłożył palec do ust z wyrazem wiele znaczącym, a okiem wskazał na drugą izbę zamkniętą. Pan Pikuła, spuścił oczy mimowolnie, i przez chwilę twarz jego jeszcze się więcej poczerwieniła. I rozeszli się sprzymierzeńce w milczeniu.

(Koniec rozdziału pierwszego.)

Artysta.

Czy znacie morza źwierciadlane tonie?...
Czy znacie burze śpiące w jego łonie?....
W chwilach pokoju i zadowolenia
Lazur w niem niebios odbija się czysty;
Jedno wzruszenie niebo w piekło zmienia...
Dziwną jak morze jest dusza artysty!

Czy znacie życie artysty?... o ludzie
Z stępionem czuciem, w przesyceniu, w znudzie...
Aby ogarnąć zmysłami to morze;
Trzeba zawiele czuć, cierpieć zawiele;
Oddychać niebem, w nieba pierwowzorze,
Trzeba wycierpieć piekło w własnem ciele.

Mistrz żeglarz czucia żagle rozpościera,
W niebo mknie duchem, a ciałem umiera.
Wielka to chwila, korzcie się rozumy...
Z nieba zwołane płyną nieprzerwanie
Tony wesela i żalu i dumy;
Milczcie rozumy, tu serca władanie!

Teraz po laury na dno piekieł schodzi,
Kędy jęk bolu i rozpacz się rodzi.
Ciężka to chwila... w piekle radość wściekła
Bo rozpacz ziemi i konania jęki
Weselne łuny w harmonii piekła...
Ciężka to chwila nieskończonej męki.

O dziwne serce!.. gniewa się i kocha;
Ból je rozrywa, oburza myśl płocha;
Męczy się, cierpi, a gdy boleść minie,
Razi je promień wschodzącego słońca;
Za konającym znowu się rozpłynie;
I któż zrozumie te męki bez końca?

Miłość artysty jako rzeka rwąca,
Rącza jak światło, jak wulkan paląca.
Biada dziewicy, jeśli się ośmieli,
Nienamaszczona i bez krzyża w ręce,
Zajrzeć w tę otchłań oczyma gazeli;
Albo niepojmie, albo legnie w męce.

Trwożliwe oczy razi połysk kwiatów;
Czy zniosą ogień dwóch palących światów?...
Zgubne to światy, choć pełne uroku..
Niebo miłości, i piekło cierpienia!..
Nie, nie... by spojrzeć, i nie stracić wzroku,
Trzeba mieć serce i oczy z płomienia.

Dziwny on człowiek, przebiega świat cały,
Z dumą na czole i niesyty chwały.
Za wieńce sławy płaci urąganiem...
Co mu cześć wasza; on was chwałą zdobi,
Nabytą w męce, czuć poniewieraniem;
Apostoł sztuki do chrztu was sposobi!

Dziwny on człowiek, kochanek, szyderca,
Szuka dwóch tonów do akordu serca;
Dwóch ócz z płomienia promienistej tęczy;
By się w nich przejrzał i zrozumiał siebie;
Aby, gdy czucie do sytu go zmęczy,
Ssał rozkosz nieba, i spoczął w ich niebie.

W żegludze życia, gdy nas mgły okolą,
Rozum sternikiem, a serce bussolą.
On czuciem mierzy oddalenie lądu,
Czuciem rozróżnia, i czuciem docieka;
Niesion do brzegów całą siłą prądu,
Woła o serce, poznaje—człowieka!...

Nie, nie... daremne, mistrzu, serca trudy;
Obok rozumu nie przyjmą się złudy.
Strzaskaj gęśl złotą, niechaj bez powrotu,
Dźwięk jej ostatni rozpłynie się w dali....
Niema dziś orłów nieścigłego lotu,
I ludzi, coby twych pieśni słuchali!

J. Z.

Najnowsze dzieła.

WIECZORNICE:

Powiastki, Charaktery, Życiorysy i podróże

zebrane przez

Luciana Siemieńskiego.

Tom pierwszy.

(Dokończenie.)

Nierównie piękniejszym jest ustęp pod tytułem: **J. B. Zaleski.** Ten nasz tak dobrze znany poeta, twórca cu-

dnych piosnek ukraińskich, prawdziwy Ossian stepów ukraińskich, oddany jest tu w obrazku, pełnym mglistego, jego piosnek godnego powabu, z całem artystostwem pióra układu. Niema tam całości przedmiotów i szczegółów, bo snać nie szło o to autorowi, ale jest utwor epizodyczny, wyrzucony można by powiedzieć jednym podmuchem natchnienia. Już sam początek tego ustępu napisany jest z dziwnym wdziękiem. „Małgorzata ze Szkocyi“ powiada autor, przebiegając salę zamkową, postrzegła śpiącego poetę Alana Chartier, i pocałowała go; a gdy królewski ten pocału wzbudzinekł szmer między dworzany, odpowiedziała: „Nie mężczyznę, lecz pocałowałam usta z których tyle uroczych pieśni i mądrych zdań wyszło:“—„Wątpię aby postępek ten żony Delfina potępić mogła która z polek, ubóstwiających dumy i dumki naszego ukrainnego poety.... i t. d.“ Kończy zaś autor ten o Zaleskim ustęp, rzucając niejakie światło na przejście poety w późniejszych jego utworach do dumań religijnych, które są w nim dowodem tęsknoty za ziemią rodzinną, są modlitwą do Boga o ulubioną Ukrainę. Niemniej śliczny jest ustęp pana Lucyana Siemieńskiego, noszący nazwę: Wiązanka konwalij. W tym ustępie jest i artystyczność, jest i uczucie. Opowiada on w nim ostatni pożegnawczy wieczór, który w Warszawie przepędził nasz Brodziński. Złamany, zgięty słabością piersiową, która go tak przedwcześnie porwać miała, przed swym do Drezna wyjazdem, na wieczorze u pani R... żegna się z zebranemi tam naumyślnie przyjaciołmi i znajomemi. Biedny poeta przeczuwa śmierć, która już nad nim ulatuje, i nadaje słowom jego ten urok i powagę myśli głębszych, tę harmonią przeczuć i pamiątek, prawdziwy spiew łabędzi w ostatnich pojawach życia umysłowego. Opowiada zgromadzonym gościom swoją pierwszą tęsknotę, swój pierwszy żal, niczem i nigdy nieutulony po zmarłej matce, która mu się przez całe życie białą cudnej piękności postacią, w snach pojawiała. Opowiadając pierwszy swój żal, z jakąż tęsknotą, z jakim bólem musiał patrzeć poeta na żonę i kilkoletnią córkę. Poeta lubił kwiaty, a nad inne przenosił konwalije, i właśnie idąc na to zebranie, zdybał kwiaciarkę i sporą kupił wiązankę konwalij. Na pożegnanie rozdawał obecnym tam gościom gałązki ulubionego kwiatu swego, by im miłą po nim pamiątką została. I rozdawał póty, aż mu się żadnej nie zostało gałązki. Poeta całą duszą i całem uczuciem widział w tem złą dla siebie wróżbę, i przemówił słów o tem kilka smutnych. Wszystkie panny i panie pospieszyły podzielić się z nim na powrót wonnemi gałązkami. Rozrzewniony, przycisnął je do serca i wyszedł, by już nigdy do tych swoich nie wrócić ukochanych. To się działo na wiosnę, a w jesieni konał już w Dreznie śpiewak Wiesława. Czuwał nad nim przyjaciel, brat po lutni Edward O. Daremne było jego czuwanie, daremna sztuka lekarska. Brodziński dogorywał, i na chwilę przed skonaniem wymówił kilka słów Edwardowi niezrozumiałych. Gdzie mój bukiet?... gdzie mój bukiet? wołał konający. Poeta umierający snać przypomniał sobie ów wieczór pożegnania i ten bukiet konwalij, który zeschnięty i jak on bez życia znaleźli w jego rzeczach po śmierci. Najważniejszym nie zaprzeczenie zbioru tego artykułem jest ustęp pod tytułem: Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego. Wiemy wszyscy kto był Węgierski, to jest wiemy, że był poetą dowcipnym i satyrycznym za czasów Stanisława Augusta; wiemy o nim o tyle, o ile znamy niektóre jego ulotne poezye. Lecz nie znaliśmy dotąd jego wszelkich usposobień, nie znaliśmy życia, losów jego, ani śmierci. Krótko i nekrologicznie dowiadujemy się jeno z życiorysu Węgierskiego wydanego przez Mostowskiego, że po wielu przykrościach wyjechał z ojczyzny, podróżował po całej Europie i umarł w Marsylii, gdzie też i pochowany leży w katedrze. Tymczasem w lat przeszło 60, na jakiejś licytacyi, żydzi zakupili wór papierów do sklepów korzennych, na zawijanie pieprzu przeznaczony. Część tego woru wyratował przypadkiem jakiś miłośnik autografów. Pomiędzy innemi szpargałami znalazło się w tym worku kilkanaście zeszytów podróży, pamiętników i listów, w języku francuskim, pisanych przez naszego satyrycznego poetę. Na nieszczęście są wielkie luki w tych zeszytach. Z tego jednakże co pozostało, dowiadujemy się że nietylko podróżował po Europie, zapalczywe wiodąc romanse z paryskiemi pięknościami, ale zwiedził on Martynikę i Stany Zjednoczone, tylko co wtenczas uwolnione z ucisku angielskiego. I nie próżną ciekawością wiedziony pojechał on do Ameryki, ale chciał się na łonie rzeczypospolitej nowonarodzonej, nauczyć czego na korzyść rzeczypospolitej umierającej. Popoznawał się w Ameryce z ludźmi najznakomitszymi owego czasu, od Wassyngtona zacząwszy. Korrespondował nawet z nimi, i z innemi rodakami swymi, i z tych ułamków, które nam autor rzeczonego ustępu w skróceniu podaje, poznać można, że Węgierski obdarzony bystrem pojęciem, i najlepszemi dla własnego kraju chęciami, sądzi nader trafnie o rzeczach i ludziach. Daremne wszakże były te wszystkie jego trudy i dobre chęci. Straconego życiem za młodu zdrowia, niezdołał odzyskać, i zasoby jakie w swej głowie zebrał, znikły bezużytecznie. Zebranie tych zupełnie nowych wiadomości o Węgierskim jest bardzo ważne; jakoż należy się za nie niemała wdzięczność panu Lucyanowi Siemieńskiemu. Zebranie to jest jeszcze niekompletne, bo p. Siemieński wiele bardzo z tego znalezionego skarbu antykwarskiego odrzuca jako rzeczy mniejszej wagi. W tym względzie nie godzimy się z nim; przeciwnie jesteśmy tego zdania, że wielką zawsze zrobił by przysługę ten, któryby wszystkie te, acz niekompletne Węgierskiego pamiętniki i listy, czy ważniejszej czy mniej ważnej treści, w pewny ład ułożywszy, luki zostawując lukami, drukiem do powszechnej podał wiadomości.

Listy Babiogórskie do „Nowin."

LIST II.

(Dokończenie.)

Najtrudniej przychodzi mi odsłonić wam intelektualną stronę Jordanowian; bo gdybym wam powiedział: że oprócz księży, obywateli wiejskich, którzy tu poniekąd przesiadują i urzędników, niema w Jordanowie ani jednej mądrej głowy; gotowi by Jordanowianie rzucić na mnie klątwę, mając się jeden w drugiego za mędrców. Otoż najlepiej zrobię, gdy ich przyrównam do Sokołowian, tyle hałasujących w Nowinach. Kubek w kubek macie i tu takich rzeczników. Wyszło i wychodzi dotąd z tego miasteczka dosyć ludzi uczonych, kórych najwięcej w duchownym przebywa stanie; ale wychowanie, życie społeczne, zgoła wszystkie stosunki jordanowskich mieszczan obracają się zawsze na jednej i tej mej umysłowej osi, którą im szkoła trywialna, ten jeden tu istniejący ukowy zakład do serc młodych wraziła. Najlepiej wyświeci stan ich umysłowy, lubo chętnie przypuszczam wyjątki, i tu ze szczegółów niechce wnosić kateorycznie na ogół, następujący ustęp z mojej wędrówki.

Był to letni ale posępny poranek roku 185*, kiedy jadąc pierwszy raz w Babiogórskie strony, musiałem w tym miłym Jordanowie stanąć na popas. Posępność dnia smutniejszą jeszcze postać nadała mieścinie, zdawało mi się bowiem, jak gdyby tu żywej duszy nie było; bo rzeczywiście wjeżdżając o godzinie dziewiątej z rana, zaledwie dopatrzyć mogłem człowieka, który na pytanie: gdzie oberża? zrobił głupkowatą minę, otworzył usta i odparł: niewiem. Pytam dalej: gdzież można zajechać i konie popaść? Za miastem, odbąknął lakonicznie i poszedł. Niepodobna myślę sobie, aby w miasteczku na trakcie nie było oberży! Wszakże nie widząc nigdzie zajezdnego domu, a chcąc się i mieścinie przypatrzyć i o dalszą rozpytać drogę, kazałem zajechać pod ratusz i dać koniom siana. Ni z tąd ni z owąd posuwa się wnet ku mnie to trwożliwym, to śmielszym krokiem jakiś mieszczanin wysokiego wzrostu, w kapocie i futrzanej czapie z zawiasami, wąs miał siwy, podstrzyżony, twarz ściągłą pergaminową, oczy bure, czupurność w minie udaną; i chrypnie i kaszlnie i splunie i chce coś przemówić i znowu niby się obejrzy, aż wreszcie przytarł śmielej kark do głowy, zbliżył się, pokłonił i rzeknie:

— Z przeproszeniem pana, a z kąd pan?...

— Z daleka! odpowiedziałem.

Potrząsł głową, jak gdyby niezadowolniony był tą odpowiedzią; lecz ośmielony, wyciągnął z kieszeni rożek z tabaką, a częstując mię nią, pyta dalej:

— A gdzie pan jedzie?

— Do Babiej góry.

— Ho, ho, ho! i z tak daleka do Babiej góry?..

— A czyż to nie warto jej widzieć?

— Panie odpuść grzechy! a nie szkoda też to pieniędzy i fatygi? cóż panu z tego przyjdzie, że ją pan zobaczy?

— Opiszę ją, odpowiedziałem, śmiejąc się w duchu z ciekawca.

— To pan literok! aha! ale (tu mlasnął ustami) cóż tam o niej pisać? ot góra sobie i góra! chyba, żeby tam pan znalazł jakie skarby, hm, bo tam coś bają o djablim zamku!

— Otóż może mi się i uda; ale proszę was, powiedzcie mi, którędy mam teraz jechać? rzekłem żywo, chcąc się pozbyć natrętnika.

— No, no, niechże pan posłucha o tym djablim zamku, bo to on jest na samej Babiej górze, a i tam trzeba jeszcze wiedzieć do niego trafić.

— Już ja się na miejscu dopytam.

— Od kogo panie? może od górali, od tych głupich Catorzan? *) alboż oni wiedzą? hm, ale...

I tu zrobił minę, jakoby on sam tylko posiadał klucz do wyjaśnienia mi tej tradycyi o djablim zamku, dając mi nadto do zrozumienia: iż tak ważnego sekretu bez honoraryum wyjawić nie może.

— Mniejsza o to, rzekłem zniecierpliwiony, czy wiedzą lub niewiedzą; mnie o djabli zamek nie idzie, proszę mi tylko pokazać drogę do Makowa.

— Szkoda, wielka szkoda, że pan nie chce posłuchać o djablim zamku; dałoby się o tem dużo pisać, hm, a co droga do Makowa, to tu na prawo, pojedzie pan z góry, potem pod górę, potem znowu z góry do Osielca a z tamtąd prościutko do Makowa; ale do Babiej góry nietrza jechać na Maków.

— A którędyż?

— Aleboto panie nie tak łatwo powiedzieć, hm. Za Osielcem będzie most, a za tym mostem znowu most i znowu most; aż za czwartym mostem trzeba się wziąć ksobie na Białą.

— Na jaką Białą?

— Tak panie wieś się nazywa, hm. I znów podał rożek z tabaczką.

Zaledwieśmy tyle z sobą pomówili, juźcić zewsząd, jak grzyby, poprzyczepiali się do mego wózka różnego wieku i kalibru indywidua. Z jednej strony stało ze sześciu zatabaczonych mieszczan, z po za których wyglądało kilka żaków, z drugiej żydki z iskrzącemi oczyma i żebraki pootulani w szmaty; dosyć, że w jednej chwili widziałem się otoczonym gawiedzią zagapionych i spoglądających z wytrzeszczonemi jak na raroga oczami.

— I czegóż chcecie? wrzasnąłem gniewnie.

— Idźcie z tąd, dodał mój pierwszy znajomy, ten pan literok, wy tu nic nie wskóracie; z takim panem trzeba umieć hargumantować.

— Literok! literok! szepnął sobie każdy z osobna, i jak gdyby znowu przed dzikim lub opętanym, jeden za drugim cofając się z przestrachem, z daleka tylko lękliwie spoglądał.

Niemogąc się już dłużej powstrzymać od gniewu i śmiechu, chciałem natychmiast ruszyć dalej, ale przypomniałem sobie: że niemam tytoniu ani cygarów; w obawie więc długiego a w podróży tak przykrego postu, posłałem służącego na ratusz, gdzie mu wskazano trafikę, po funt czarnego i paczkę cygarów. Niebawem wrócił służący; ale tuż za nim prawie z czołgającą pokorą zdumiony i zadyszany żyd, który zbliżywszy się do mnie, rzekł z udaną czy istotną nieśmiałością: Niechze chocias wiem, kto jest wielmozny pan; bo jak Jordanów Jordanowem, nikt tu jescze naroz nie kupił całego funt corny, ani całego packa cygar.

— Jestem literat, rzekłem, śmiejąc się do żyda, a do furmana: ruszaj. Żyd dobrze mnie wzrokiem nie połknął, podstrzyżony wąsacz zbliżył się ku niemu z miną tłumacza, gawiedź rozwarła gęby; a ja możecie sobie wystawić, z jakiem wyobrażeniem o Jordanowianach opuszczałem to oryginalne gniazdo!

P. S. Dziewczyna w Grzecheni jest z każdym dniem słabsza, we śnie modli się ustawicznie i śpiewa niezrozumiałym dla przytomnych językiem; podczas snu oblewa się mocnym, kroplistym potem. Na pytania obcych nie odpowiada, tylko wtenczas, kiedy który z księży przyjdzie, po wydaleniu obecnych, rozmawia z księdzem o modlitwie albo aniołkach. C. k. fizyk obwodowy nie uznał jej za jasnowidzącą.

Balów nie było więcej żadnych prócz kilku domowych zabaw, mianowicie w Suchy w wielce szanownym domu państwa Lefflerów i w Sidzinie u p. leśniczego Skali. Okropne zadymki, jakich tu najstarsi niepamiętają ludzie, zasępiły w same ostatki rozochocone umysły i popsuły napięte układy. Po sążnistych śniegach, które nam Babia góra z początkiem marca rzuciła i po dość silnych dwudnio-

---

*) Czatorzanie są babiogórscy górale mieszkający tuż pod samą Jasną Panią.

wych mrozach (15 stopni), mamy dzisiaj odwilż a nawet drobny i ciepły deszcz.

Przedmiotem zagadki w podanej szaradzie była: Zuzanna araczej **Susanna**.

Babiogórczyk.

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki,** *dnia 11go marca 1854.* Skończył się karnawał, owe dni szalone, o których bogiem a prawdą my nieszczęśliwi parafianie tylko z gazet lub z Nowin dowiadywaliśmy się, i choć niebraliśmy w nich udziału, cieszyliśmy się, że są przecie w naszym kraju ludzie, którzy nie stracili ochoty i środków do zabaw. U nas ochota możeby się znalazła, bo jak to mówią «Choć bieda to hoc!» Ależ do karnawału trzeba coś więcej, trzeba wolnej myśli, i i trzeba mieć za co się bawić, a że to za co nie łatwe dla szlachcica, przeto radzi nieradzi siedzieliśmy cicho, pocieszając się nadzieją, że może za pomocą indemnizacyi i t. p. i dla nas przyjdą te czasy, iż człowiek będzie mógł sobie pohulać. Dla tegoto mimo chęci, w czasie karnawału niemiałem wam co donieść, bo jakżeby wam się wydawło przy waszych wesołych nowinach, gdybym był wystrzelił z doniesieniem, że u nas wielka i wielka bieda, że dla nieurodzaju i złego namłotu prawie wszystkie stodoły i szpiklerze próżne, a choć ceny dość wysokie, to cóż z tego, kiedy zboże już w ręku żydów lub spekulantów, bo każden zmuszony był sprzedać, jakżeby wam się wydało doniesienie, że u nas w Forum szlacheckiem ciągłe licytacye na dobra się odbywają, na których dawniej żydzi, dziś pseudo-katolicy na wpół darmo dobra kupują, jakżeby wam się wydało, gdybym wam doniósł, że nędza między chłopkami do tego stopnia doszła, iż nowo utworzony proletarjat z komorników i pastuchów, oblega za jałmużną dwory od wschodu do zachodu słońca, że trafiają się wypadki, iż znajdują z głodu umarłe dzieci, że niema dnia, aby niepopełniono jakiej kradzieży, wszystkie podobne nowiny byłyby wam w czasie karnawału popsuły humory, czekałem zatem nadejścia postu, a wierzcie mi że życie na wsi dzisiaj, jest życiem pokuty! Do podobnych wielko-postowych nowin, należy niniejszy opis wylewu wód z Wisłoki.

Od czterech tygodni wisiał nad nami jak miecz Damoklesa Zatór. Lody z Wisłoki niemogąc wejść do jeszcze zamarzłej Wisły, utworzyły jedną wielką barykadę lodu, na ćwierć mili się rozlegającą. Cieszyliśmy się nadzieją, że może te lody pomału się roztopią, i że Bóg od nas tę klęskę odwróci. Ale i ta, jak wszystkie inne nadzieje nas omyliła, 10. b. m. w nocy Wisłoka znowu zrzuciła lody, a jej lody nie mogąc dostać się dla zatoru na Wisłę, wystąpiły z brzegów i zwróciły koryto przez wieś i pola Zdakowa i Milanów, dwóch folwarków do dóbr Nizin należących.

Ozimina już przed czterema tygodniami zalana, dziś powtórnie pod wodą stojąca, nie zostawia żadnej nadziei, zasiewy wiośniane nie łatwo się dadzą uskutecznić, bo pola nisko położone, na których woda deszczowa długo zwykle stoi, dziś tworzące jedno wielkie morze, zapewne nie dadzą się uprawić, aż chyba gdzieś w Maju; przytem przerwanie komunikacyj wszelkich, zniszczenie w budynkach, w karmie i t. p. jest to klęska, którą nie tak łatwo opisać; trzeba to widzieć aby módz ocenić. Otoż to nasze zabawy, oto nasz karnawał! Dziś woda jeszcze przybiera, piszę to w domu, któren naokoło otoczony wodą wygląda jak okręt, a może jutro trzeba będzie się na strych wynosić, bo woda już niedaleko domu podchodzi.

* **Ludwik Napoleon.** W Anglii ukazała się broszura o Ludwiku Napoleonie w kształcie listu do margrabiego Londonderry. Bezimienny autor, który się: *A Man of the World*, człowiekiem wielkiego świata nazwał, ukrywa, jak »Morning Herald« zapewnia, pod tym anonymem imię znakomite, i zajmuje wysokie stanowisko w narodzie. Gdy autor przez dłuższy czas był w pobliżu często cesarza, więc ciekawe jest jego zdanie o Ludwiku Napoleonie. «Było to w r. 1839 gdym zrobił znajomość z Ludwikiem Napoleonem, a podobna rzecz nie zapomina się łatwo. Stryj jego Józef, dawniejszy król Neapolu i Hiszpanii, bardzo uprzejmy i dobry człowiek, jakiego na świecie znaleść trudno, wprowadził mnie do niego. Nie brakło mi więc sposobności do zbadania charakteru Ludwika Napoleona, i wiele nawet czasu umyślnie poświęciłem temu. Bo zadanie było trudne, a długi czas wydało mi się, iż niepodobna zbadać jego. Uprzejmy, ale zimny, grzeczny, ale usuwający się, unikał Ludwik Napoleon wszystkiego, co innych dotknąć mogło, ale unikał i wszelkiego przyjacielskiego zbliżenia się. Jakby instynktem wiedziony niedopuszczał, aby go wybadywano. Chociaż w obejściu się, w rozmowie, zachowywał się stosownie do swego wysokiego stanowiska, z tem co prawdziwie ludzkiego z nim było, nie odsłaniał się przed nikim. Dziwić się nie można było temu. Od najwcześniejszej młodości otoczony szpiegami, okrył się tajemniczem milczeniem. Nikt nie śmiał przerywać jego marzeń, lub dopytywać się o jego zamiary. Ale nawet przez milczenie, które się drugą naturą jego stało, przebijały się ślady charakteru stałego i szlachetnego serca. Wiele właściwości, wprost z sobą na pozór sprzecznych, w nim było połączonych. Zatopiony w sobie, a jednak bystro wszystko dostrzegający, co się w około niego działo, wszystkiego dociec chciał, ale nikomu o wypadku swych spostrzeżeń nigdy nic nie powiedział. Zimny i jakby w niczem udziału niebiorący, ale silnej woli, długo zastanawiający się i ostrożny, ale gdy raz postanowienie wziął, szybko, z zapałem, z energią wszystko wykonywał. Prawie przez intuicyą dostrzegał sposobnej do wykonania swego zamiaru pory, lub odkrywał słabości innych. Wytrawiony długiem rozmyślaniem, przeciwnościami zahartowany, uzbrojony przeciw każdej zmianie szczęścia, jest Ludwik Napoleon w posiadaniu własności nieocenionych dla męża tak wysokie zajmującego stanowisko. Nawet w życiu prywatnem umie zjednać sobie poszanowanie i przychylność otaczających go. Jeźli mu o to chodzi, przybiera najuprzejmiejszą, wszystkich za serca porywającą powierzchowność. Tak z natury swej jak i z przyzwyczajenia jest w wysokim stopniu uczynnym, przytem szlachetnym, szczerym i w swoich uczuciach stałym (constant). O nim, na to Milordzie spuścić się możesz, nikt w świecie nigdy nie powie iż zapomniał dobrodziejstwa mu wyświadczonego lub przyjaciela w nieszczęściu opuścił. Jego dawniejsi towarzysze nieszczęścia, wszystkie prawa, datujące się z Ham lub z ś. Heleny, niedługo czekały wezwania do pałacu Elizejskiego. Towarzysz więzienia jego, Dr. Canneau jest naczelnym, nadwornym lekarzem jego, a o ludziach którzy stryjowi jego wierni byli aż do końca, lub którym stryj poprzekazywał różne legata, pamiętał najpierwej skoro przyszedł do władzy. Niechaj inni z tego co posłyszą, układają sobie obraz Ludwika Napoleona, ja mam lepsze źródła, bo on mi sam siedział do tego portretu i powołuję się na tych, którzy go bliżej poznali, a mianowicie na ciebie Milordzie, czy portret mój nie jest trafiony.«

* **Sumaryczny i doraźny sposób zawierania małżeństw.** Nie jeden młody kopacz złota w Australii, przypatrzywszy się uzbieranym skarbom swoim, poczuje się samotnym i smutnym w namiocie, a przypomni sobie, że jest skarb nad skarby, prawdziwe uwieńczenie kawalerstwa, to jest żona. To sobie powiedziawszy, oddaje za kwitem do zbrojnego rządowego konwoju uzbierane złoto, sam pakuje tornistrę, i wraca do miasta, nad brzeg morza. Tu już o niczem nie marzy, tylko o żonie, żony szuka, żony chce, żonę znaleść musi. Do Melbourne coraz częściej przybywają owe dziewczęta z Anglii, przez panie Sidnej Herbert lub panią Chisholm wyprawiane. Takie dziewczęta za staraniem komisarzy emigracyjnych w Melbourne zawierają kontrakty na służbę domową na rok, dwa lub trzy i więcej za dobrą zapłatę i u znanych z uczciwości osób. Dawniej łatwo było można

dostać taką służącę, byle jej zapewnić dobre wynagrodzenie i dać władzom rękojmię obyczajnego obejscia się z nią. Ale teraz to inna sprawa. Te panienki spotykają młodych i świeżo zbogaconych kopaczy złota, którzy do Melbourne na żeniaczkę z złotych pól wrócili. Tym ludziom najbardziej chodzi o pośpiech i byle nieszpetną była i zdrowo wyglądała panienka, mniejszą o resztę, tem bardziej, że wiadomo, iż w wyborze emigrantek panie Chisholm i Sidney Herbert miały wzgląd na ich obyczajność i postępowanie. Te panienki, biedne wyrobnice z Londynu, przeznaczone na służbę po familiach w Australii, także nieprzebierają i codzień się zdarza, że która z nich na ulicy zaczepiona przez nieogolonego, ale zresztą złotem brzęczącego kopacza i poproszona o rękę, spojrzy mu w oczy, uśmiechnie, rękę mu poda; wejdą do sklepu, gdzie na znak zareczyn kawaler kupi bogdance swojej jaki gustowny strój według ostatniej australskiej mody, np. pąsowy kapelusz z żółtemi piórami, zapłaci za to arcydzieło szaloną jakąś cenę, a ztamtąd prosto do parafii na kobierzec i interes skończony z obopólnem zadowoleniem wszystkich interesowanych stron. A ta panienka może wczoraj kontrakt podpisała na kilkoletnią służbę u jakiej tam pani, która się niecierpliwi, że niemoże sobie dobrać służącej, bo jedna po drugiej wbrew kontraktów uciekają, lub się wynoszą otwarcie, idą za mąż i każą się nazywać Mistriss i najdziwniejsze szale i najwytworniejsze rękawiczki noszą. Często panie muszą przez licytacyę, kto da więcej, a mniej wymagać będzie, umawiać się z wybredną emigrantką. Układy te odbywają się przed komisarzem emigracyjnym, w gmachu na to przeznaczonym. Podczas tych umów i przetargów, za kratą stoi zwykle kilkudziesięciu kopaczy złota, którzy tam jakby na małżeńską targowicę przybywają. Wpatrują się w emigrantki i jeżeli sobie który upatrzy taką, coby mu się osobliwie podobała, mruga na nią oczyma z daleka i znaki robi, rękę do serca przykłada, potem obie ręce składa, niby o ślubie wzmiankując i trafia się bardzo często, że ta minka kończy się nagłem odezwaniem się emigrantki, w chwili kiedy już tylko podpisać jej pozostaje kontrakt na służbę, że się zrzuca z kontraktu, gdyż idzie za mąż, za tego, ot tam, wysokiego pana, co ma czarną brodę i tak piękny łańcuch złoty od zegarka. Niewiem, powiada, jak się nazywa, ale się przecież dowiem przy podpisaniu intercyzy. Dzieje się to publicznie, nikt się temu nie dziwi. Obyczaje wcale na tem nie tracą i owszem, po większej części takie małżeństwa się udają. (*Westgarth o Australii.*)

* Przy końcu tego miesiąca na korzyść pana Smochowskiego dany będzie dramat Szekspira: **Kupiec Wenecki.**

* Na dochód ubogich diletanci dają w następnym tygodniu koncert wokalny i instrumentalny, połączony z loteryą fantową.

Do dzisiejszego numeru dla abonentów mód dołączona rycina zawiera: 1) ubiór od przechadzki; suknia jedwabna. Wysoki, gładki stanik z podwójnemi baskinami; spodnia baskina pięć, a wierzchnia trzy razy aksamitkami obszyta. Spodnica ma trzy garnirunki, dolny ośm, środkowy siedm, a wierzchni sześć razy aksamitką obszyty; aksamitki u dołu są szersze, a u góry węższe. Rękawy kształtu pagody, również aksamitkami wyszyte. Mantylka wiośniana, z czarnego aksamitu, po bokach otwarta; plecki w fałdy ułożone i do naramka przyszyte. W około pas mory, 6 cali blisko szerokości mający, u naramka w około szeroka, strzępiona frezla. Krój tej mantyli jest w załączonym rysunku fig. 3, 4 i 5. Kapelusz z różowego aksamitu niepostrzyganego, garnirowany blondynami; po prawej stronie bukiet z róż i białych piór; sam brzeg kapelusza garnirowany szeroką blondyną, która się w tył odkłada. Pod kapeluszem girlanda z kwiatu geranium i wąskich blondynek. (D. n.)

Przyjechali dnia 15. 16. i 17. marca do Lwowa:

PP. Hr. Badeni Władysław, z Surochowa. Czajkowski Hipolit, z Sarnek. Dąbkowski Józef, z Przemyśla. Dąbkowski Konstanty, z Sarnek. Goralewicz Stanisław, z Przemyśla. Harasimowicz Marcin, z Teysarowa. Jaworski Wojciech, z Ostrowa. Jaworski Mikołaj, z Kobylnicy. Leszczyński Leopold, z Soliny. Pilatowski Marceli, z Bobrki. Hr. Stadnicki Leon, z Nadyb. Szujski Piotr, z Janczyna. Tomaszewski Walenty z Brodów.

PP. Borkowski Mikołaj, z Czerniowic. Czerniecki Jan, z Rozwadowa. Hr. Gołuchowski Artur, z Krakowa. Hubicki Karol, z Ozydowa. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Micewski Edward, z Tuczemp. Nowosielski Ludwik, z Zbory. Romaszkan Antoni, z Buraków. Tenczarowski Tomasz, z Brzeżan. Kotkowski Władysław, z Czerlan.

P. Łoziński Mikołaj, z Jaryczowa.

Wyjechali dnia 15. 16. i 17. marca ze Lwowa:

PP. Nikorowicz Mikołaj, do Kołomyi. Wiśniewski Antoni, do Strutyna.

PP. Hirschler Franciszek, do Miklaszowa. Malina Wincenty, do Złoczowa. Siemianowski Franciszek, do Siemiginowa. Sozański Celestyn do Błażowa. Stopczyński Franciszek, do Tarnopola. Wszniewski Wiktor, do Strzelisk.

P. Kotkowska Emilia do Przemyśla.

Lwów 17. marca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 22 złr. — kr. do 24 złr. — kr. — Żyta po 16 złr. 45 kr. do 18 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 8 złr. 6 kr. do 9 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 13 złr. — kr. do 15 złr. 53 kr. — Ziemniaków po 8 złr. — kr. do 10 złr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 20 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 1 złr. 50 kr. do złr. 2 kr. 22. Centnar słomy 1 złr. 12 kr. do 1 złr. 50 kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 18. Marca.	gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 6	kr. 3	złr. 6	kr. 6.
Dukat cesarski	» 6	» 7	» 6	» 10.
Półimperyał zł. rosyjski	» 10	» 36	» 10	» 39.
Rubel srebrny rosyjski	» 2	» 3	» 2	» 5.
Talar pruski	» 2	» —	» 2	» 1.
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	» 31	» 1	» 32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	» 90	» 50	» 91	» 15.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 17 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg $133\frac{3}{8}$. Frankfurt $133\frac{3}{8}$. Hamburg 100. Liwurno. — Medyolan $130\frac{1}{4}$. Genua. — Londyn 13. 1. Marsylia $157\frac{1}{4}$. Paryż $157\frac{1}{4}$. Bukareszt 211. Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 33. Pożyczka 5% $89\frac{9}{16}$. $4\frac{1}{2}$ $74\frac{1}{2}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1204. Kolej północna 2185. Obl. ind. 5% —.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**